

## BRATANKI

Szwendam się po Słowacji, mniej lub bardziej systematycznie, od dwudziestu kilku lat. Zjeżdżiłem ten kraj autostopem, roworem, trochę na nartaach, samochodami przyjaciół, sporo kilometrów piechotą. Parę razy wyjeżdżałem tam za państwowe pieniądze — jako etnograf i jako tłumacz ich prozy. Miałem tam znajomych z najróżniejszych kręgów. W czasach, gdy wyjazd do Czechosłowacji nie stanowił takiego problemu jak obecnie, byłem dość osłuchany z różnymi słowackimi dialektami, a sam mówiłem na tyle biegle, że brali mnie za swojaka. Staralem się wówczas prowokować rozmowy na tematy polskie, by oglądać mój kraj z boku, oczyma sąsiadów. Z takiej perspektywy widzi się niekiedy rzeczy zdumiewająco, aż człowiek nie wie, czy śmiać się, czy zżymać. Uczucie nieporównywalne z niczym.

Gdybymi teraz mógł postawić na stole jadła i napitki, którymi mnie w ciągu tych dwudziestu paru lat na Słowacji ugoszczono, wydalbym ucztę, nie gorszą od niejednego góralskiego wosola.

Tak oto, na swój prywatny użytek, przesunąłem o kilkaset kilometrów na południe granicę terenu, gdzie byłem u siebie w domu.

W ciągu tego całego czasu nasłuchiwałem się od Słowaków bardzo wiele na temat Węgrów. Same najgorsze rzeczy. Nie znalazł się, przynajmniej w moim towarzystwie, jakiś współczesny słowacki Szwejk, który stwierdziłby pojeźnawczo: „nie każdy Madziar winien temu, że Madziar”; natomiast i owszem, raz po raz, w najróżniejszych wariantach i kontekstach przewijała się złota myśl sapersa Wodiczki: „krótko mówiąc, Madziarzy to hołota”. A jeżeli któryś Węgier czymś się wslawił, zapewniano mnie, że z pewnością nie był to Węgier: Petöfi miał słowackich rodziców, Kossuth słowackie nazwisko (kośút to w gwarach południowosłowackich kapłon — coś za pole do wspaniałych conceptów!), Hunyady był Rumunem, Teleki to ród serbski, Zrinyi — chorwacki itd. Interesujące, że ludzie, którzy mnie o tym przekonywali (również historycy, etnografowie, literaci) zawsze, ilekroć rozmowa zesłała na Węgrów, odrobinę za bardzo podnosili głos. Widocznie to, co mówili, tak im się podobało, że chcieli lepiej słyszeć. Próbowalem nawet parę razy dyskutować, ale dawałem spokój. „Nie rozumiesz, bo jesteś Polakiem” — mówiono mi w takich przypadkach i ten argument mnie przekonywał, bo rzeczywiście nie rozumiałem i rzeczywiście jestem Polakiem.

Na temat kultury węgierskiej wiem niewiele, stykałem się z nią wyrywkowo, języka niestety nie znam, w Budapeszcie byłem wszystkiego jeden raz. Mimo to na Słowacji nieustannie rzucały mi się w oczy przeróżne węgierskie ślady — w kulturze ludowej, języku, sztuce i stu innych dziedzinach życia. Gdybym więcej wiedział o Węgrzech, z pewnością dostrzegłbym tych śladów bez porównania więcej. Jest to rzecz łatwo wytłumaczalna: Węgrzy rządzą Słowacją przez tysiąc lat, nie rządzą dopiero od lat siedemdziesięciu, jasne więc, że na Słowacji wiele kamieni i wielu ludzi mówi po węgiersku, choćby nawet nieświadomie albo i wbrew własnym intencjom. Otóż nie daj Boże podzielić się tym banalnym spostrzeżeniem ze Słowakami, również (a może przede wszystkim) z humanistami. Gdy przed laty, siedząc w winiarni z grupą młodych bratysławskich etnografów zwiórzylem się mimochodem, że bardzo mi brakuje znajomości języka węgierskiego, zmroziłem całe towarzystwo. „A na co ci węgierski?” „Bo człowiek poważnie interesujący się Słowacją nie może nie znać węgierskiego.” Mój sąsiad lekko przybladł. „Táraš, somár!” (pioprzysz, osło!) zawołał w patriotyczno-alkoholowym uniesieniu. A skoro zapytałem go najuprzejmiej, czy wie, ile źródeł do dziejów Słowacji pisanych jest po węgiersku, odpo-

wiedział w sposób wielce charakterystyczny: „Nie broń ich, bo nie rozumiesz w czym rzecz. Wy, Polacy, lubicie Węgrów, bo ich nie znacie. Nie zaznaliście ich na własnej skórze.” Tymczasem ktoś, chcąc załagodzić nastrój, zaintonował czardasza. Śpiewaliśmy chórem, jak to jest przyjęte w tamtejszych lokalach i zuowu było dobrze. W ogóle Słowacy bardzo pięknie śpiewają. Czardasz był, w przekonaniu gospodarzy, absolutnie słowacki — ale tę złośliwą uwagę zachowałem już dla siebie.

Potem szliśmy nocną Bratysławą, odprowadzaliśmy koleżanki, mieszkające w domu akademickim im. A. Suworowa; odrobinę wypiliśmy, więc snulem głośno dywagacje, jakby to było, gdyby nasz warszawski akademik przy ul. Ludwika Kiekiego na Pradze także był imienia Suworowa, ale ktoś powiedział mi zupełnie słusznie, żebym był cicho.

Mój przyjaciel Węgier, również humanista, zresztą człowiek wybitnie inteligentny, patrzy na te sprawy cokolwiek z innej strony. Bratysława to dla niego Pozsony, miasto koronacyjne królów węgierskich; Koszyce to Kassa, Bardiów — Bártfa, a cała Słowacja — to dla niego zwyczajnie górno Węgry. Leżą tam w grobach jego bliscy, stoją tam załytki — świadkowie jego narodowych dziejów. Istnienie narodu słowackiego jest faktem, który mój węgierski przyjaciel w zasadzie przyjął do wiadomości, bo cóż miał robić, ale stara się tej informacji raczej nie rozpowszechniać.

Po 1918, gdy zaważyły się madziarskie dążenia mocarstwowe, a królestwo Węgier zostało drastycznie okrojone, tracąc niemal dwie trzecie swego terytorium na rzecz Czechosłowacji, Rumunii, Jugosławii, a nawet Polski i Austrii, dla narodu węgierskiego nastąpiły bardzo trudne chwile. Na drzwiach mieszkań pojawiły się porcelanowe tabliczki z napisem „Nem! Nem! Soha!” (Nie! Nie! Nigdy!). W czasach stalinowskich wiele z nich wytłuczono, wiele dla bezpieczeństwa pochowano, ale jeszcze niekiedy można je zobaczyć. Łatwo na ten temat dowcipkować, patrząc z boku; nie trudno przedstawić racje Słowaków, Rusinów, Rumunów, Chorwatów, Słoweńców, którzy zgola nie pragnęli węgierskiej opieki i starali się spod niej uwolnić, a skoro im się to wreszcie udało, płakali ze szczęścia. Można także wykazać (post factum, naturalnie) nieuchronność procesów historycznych, które doprowadziły do upadku historycznych Węgier.

Co nie zmienia faktu, że w wiejskich gospodach od Tatr i przełęcz Użoeką po Adriatyk wciąż jeszcze usłyszeć można węgierskie przekleństwa, a na ementarzach odczytywać węgierskie nagrobki. (Mniej więcej co trzeci Węgier mieszka poza granicami państwa węgierskiego). W niektórych okolicach, np. na południowej Słowacji, mniejszość węgierska stanowi absolutną większość, tak że dzieci słowackie, chcąc bawić się z rówieśnikami, muszą nauczyć się po węgiersku. Podobnie jest na znacznych przestrzeniach Siedmiogrodu, obecnie w granicach Rumunii.

Fascynują mnie zarówno odruchy Słowaków, którzy wbrew oczywistym faktom wypierają się węgierskich wpływów na swoją kulturę i starają się, czasem w żaloszny sposób, zacierać po niej ślady, jak odruchy Węgrów, którzy wciąż się dziwią, że Słowacy dają sobie jakoś bez nich radę, a życie po 1918 roku toczy się dalej i rodzą się wciąż nowe pokolenia. Ogromnie to ciekawe dla Polaka, bo może przyjrzeć się każdemu rodzajowi narodowej aberracji z osobna, ponieważ u nas obydwie te gatunki występują równocześnie: jesteśmy „Słowakami” wobec Niemców i „Węgrami” wobec Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Nie trzeba się u nas wiele nachodzić, aby spotkać człowieka, który będzie dowodzić z ogniem w oku, że na Śląsku nie ma absolutnie żadnych

pozostałości kultury niemieckiej. Nie powinno się również używać słów takich jak rynek albo szuflada, bo to germanizmy. Świetnie, tylko jak mam to zrobić, skoro od czasu do czasu muszę iść na rynek albo zajrzeć do szuflady? Gdy opowiedziałem kiedyś w tzw. kulturalnym towarzystwie anegdotkę o próbie śląskiej orkiestry górniczej (Koledzy! Achtung! Trumpoty do muntów! Zaczynamy, ajus, cwaj, draj: Jeszcze Polska nie zginęła...) usłyszałem, że jest to historyjka co prawda zabawna, ale może być wykorzystana przez wrogów, jest więc szkodliwa i nie należy jej powtarzać. — Dlaczego? — zawolałem naiwnie — przecież ta anegdota wychwala polski patriotyzm Ślązaków, a wpływ niemieczyzny na gwargę śląską to fakt bezsporny! Nie będę opisywać, co mi na to odpowiedziano, bo to bardzo smutno.

To na zachodzie. A na wschodzie... Przykład pierwszy z brzegu: reportorka znanego warszawskiego tygodnika wybrała się na Litwę. Zawieziono ją do wzorowego kolehozu, w którym wszystko było zmechanizowane, a krowy odznaczały się rekordową mlecznością, lecz dziennikarkę zainteresowało przede wszystkim to, że przewodniczący nazywał się Billevičius, więc go zaczęła przepytwać na okoliczność, czy nie jest aby krewnym Oleńki Billewiczówny? Spojrzał troszkę spode łba i odpowiedział na wszelki wypadek, że nie. Dalsza rozmowa na temat osiągnięć kolehozu jakoś niezbyt się kleiła.

Myszę, że gdybym dzisiaj wybrał się rowerem od Huculszczyzny aż do samych Inflant, nocując po stodolach i jedząc po gospodach i chałupach, zachowując maksymalną mimikrę (przede wszystkim językową), usłyszałbym od Polaków więcej i gorzej, niż nasłuchałem się na Słowacji o Węgrach; a gdy pisałbym słówkiem, że Polacy ostatecznie coś tam dobrego w końcu uczynili, również na tamtych terenach, spotkałbym się zapewne z reakcją w rodzaju: tóraś, somar!

Myszę również, że patrzyłbym na mijaną okolicę, nie mając chwili odpoczynku od swojej polskości: wszystko kojarzyłoby mi się z lekturami, którymi nasiąknęłam od dzieciństwa jak impregnatem, np. z Trylogią, z opowieściami rodzinnymi, z wielkimi wydarzeniami historycznymi. Litwo! Ojczyzno moja! — jak pisał polski poeta o Białorusi. Moja również, chociaż nigdy w życiu tam nie byłem. Ukraina, Białoruś, Litwa — regiony mojej wielkiej psychicznej ojczyzny, w której tak mocno tkwię, że mi to uniemożliwia zwyczajnie postrzeganie rzeczywistości. Jakże się mam interesować osiągnięciami kolehozu znad rzeki Neris, skoro wiem że Neris to Wilija, a Wilija to przecież „naszych strumieni rodzica, dno ma złoście i niebieskie lica”?

Może byłoby zupełnie inaczej, może właśnie okazja popatrzenia na obecną rzeczywistość naszych dawnych kresów oczyma ukraińskimi, białoruskimi i litewskimi pozwoliłaby mi dojrzeć rzeczy w ich nowym wymiarze, zaskakującym dla mnie, a oczywistym dla sąsiadów? Zaś zestawienie obu tych wizji odsłoniłoby nowe horyzonty poznawcze. Gdyby tak przyjrzeć się swojej polskiej duszy nie tylko od środka, ale również z kilku punktów zewnętrznych — cóż by to była za niesamowita kwadrowizja! Z oczywistych względów ukraiński, białoruski i litewski punkt widzenia byłby znacznie bardziej wzbogacający niż czeski; ze wschodnimi sąsiadami byliśmy przecież o wiele mocniej zrosnięci i bardziej zaleźliśmy sobie za skórę.

Gdyby tak zestawie stosunek Słowaków, Słoweniów, Rumunów, Chorwatów do węgierskiego wkładu w ich kulturę, Polaków i Czechów — do niemieckiego wkładu w ich kulturę, Ukraińców, Białorusinów i Litwinów — do polskiego wkładu w ich kulturę, powstałaby rzecz dla naszej samowiedzy bardzo pożyteczna, a dla przyszłych pokoleń atryzabawna, gdyż myślenie o kulturze w kategoriach narodowych, obecnie jakże często w naszym kącie Europy, będzie zapewne kiedyś traktowane z tą samą żywcizną wyrozumiałością, z jaką my dzisiaj odnosimy się do supernaukowego zagadnienia dawnych stuleci: ile aniołów mieści się na końcu szpilki? Dawna i niedawna historia rządzi również naszym poczuciem humoru i po prostu nie mamy dość siły, a może odwagi, by z uśmiechem potraktować spór w kwestii polskości-niemieckości Wita Stwosza i słowackości-węgierskości jego ucznia,

Pawła z Lewoczy, na przykład. O wiele jednak zabawniejsze, gdy spojrzeć z boku, jest myślenie kategoriami narodowymi o przyrodzie: mało co mnie tak śmieszy, jak zwroty typu „złota polska jesień”, „polski księżyc”, „włoskie niebo”, „germańskie dęby” (mogą też być słowiańskie albo litewskie), „czeskie lipy”, „rosyjskie brzozy” itd. Ofiarą tego dziwnego przyrodniczego nacjonalizmu padły m.in. tatrzańskie szarotki; za czasów galicyjskich zrywano je masowo i przyklepiano do kartek z napisem „z polskich gór i polskich skał polski góral dla nas rwał”, aby krzepiły narodowego ducha. Cóż to musiał być za dochodowy interes!

Po 1918 roku, gdy Europa wschodnia została poszatkowana gęstą sicią granic, stał się tragikomiczny problem, który nęka nas do dzisiaj: jak rozparcelować między licznych a klótliwych spadkobierców wspólny majątek Austro-Węgier, kulturę? Do której np. z narodowych literatur zaliczyć Fruzę Kafkę, praskiego Żyda, piszącego po niemiecku? Albo Józefa Rotha? Oto przykład zagadnienia, którego niepodobna rozwiązać, gdyż jest absurdalnie postawione. Stawiano wówczas wiele podobnych zagadnień, a raczej kategorycznych stwierdzeń wzajemnie sprzecznych, a w straszliwym rejwachu, jaki wybuchnął na stypie po nieboszczeni Austrii i wiaż jeszcze trwa, nikt jakoś nie dorwał się do głosu, by powiedzieć, że kultura jest niepodzielna, zaś dzielenie tego co niepodzielne grozi schizofrenią.

Czy Słowacy mają copyright na Janosika? Jeżeli tak, to co począć z Janosikiem polskim, czy skonfiskować? Czy krakowski artysta, który malował bodiaki na stepie, stał się przez to malarzem ukraińskim? A jeśli do tego miał ciotkę na Polesiu, która w chwilach uniesienia wołała „szczob tebo lycho”? (Nie słyszałem, by ktoś zastanawiał się nad tym, czy Aleksander Gierymski, malując Sekwanę, sfrancuział).

Żył w XIX wieku na Mińszczyźnie obywatel ziemski, pan Wincenty Marcinkiewicz herbu Dunin. Pisał po polsku (zresztą nienadzwyczajnie) i po miejscowemu, m.in. przetłumaczył na białoruski „Pana Tadeusza”. Przekład ten, wydany w Wilnie, tępiony był przez carską policję ze szczególną zacięłością, ponieważ zapisany był alfabetem łacińskim a kwestia, którego alfabetu używać będą Białorusini, dopiero się rozstrzygała. Postawa narodowa i poglądy polityczne Marcinkiewicza nie budzą większych wątpliwości: przosiedział się w więzieniu za rozprowadzanie wśród chłopów (wówczas na ogół niepiśmiennych zresztą) ulotek w języku białoruskim, pisanych alfabetem łacińskim, agitujących za Powstaniem Styczniowym. Marcinkiewicz był duszą miejscowego środowiska kulturalnego, przyjaźnił się między innymi z Syrokomlą i Moniuszką i był takim samym Białorusinem jak ci dwaj, to znaczy był tak samo Białorusinem, jak Kazimierz Przerwa-Tetmajer Podhalaninem, Józef Korzeniowski Huculem, Adolf Dygasiński Pińczowianinem. Gdyby ktoś zapytał pana Marcinkiewicza, kim się bardziej czuje, Białorusinem czy Polakiem, biedak nie pojąłby sensu takiego pytania i robiłby minę jak dziecko, napastowane przez głupie ciotki: kogo bardziej kochasz, mamusię czy tatusia? Wincenty Dunin-Marcinkiewicz zwany jest dzisiaj „ojcem literatury białoruskiej”. Podobnie do literatury białoruskiej zaliczany jest przez naszych wschodnich sąsiadów Syrokomlą; Moniuszko uważany jest za kompozytora polsko-białoruskiego, gdyż niemal czerpał z miejscowego folkloru.

Otóż różnica między obecnym narodowym statusem Dunin-Marcinkiewicza a statusem Przerwy-Tetmajera nie polega na ich odmiennym samookrośleniu, lecz na tym, że Podhalanie nie wyodrębnili się w naród, zaś Białorusini tak. Nikt nie nazwio Tetmajera pisarzem polsko-podhalańskim, natomiast Moniuszkę można nazwać kompozytorem polsko-białoruskim (jeśli wpływ muzyki białoruskiej na jego twórczość jest udowodniony, nie znam się na tym, ale bardzo możliwe), gdyż Białorusini w ciągu XIX wieku stali się odrębnym narodem w nowoczesnym rozumieniu tego słowa.

Dziwne to widowisko, gdy ktoś fałszywie postawi problem, a inni bez chwili zastanowienia przyjmują owo błędne założenie

i starają się jak najmądrzej, jak najrzetelniej rozwiązać kwestię z natury swojej nierozwiązywalną i biodzą się straszliwie. Jeszcze dziwniejsze, gdy większa grupa ludzi z ochotą przyjmuje błędne założenie dlatego tylko, że dotyczy ono ich narodu i odsuwa na bok logikę, aby poprawić sobie samopoczucie. Przyglądałem się z ciekawością, a i z lekkim rozbawieniem, gdy słowaccy przyjaciele w bardzo pryncypialny sposób stawiali kwestię, na ile Słowakiem był László Mednyánszky, wybitny malarz, potomek szlacheckiego rodu węgierskiego znanego od średniowiecza, który sporą część życia spędził na rodzinnym Spiszu, malując tamtejsze pejzaże i typy ludowe. Co mnie przede wszystkim ubawiło, to zapaleczość, która dyskutantom myliła się z patriotyzmem, oraz oczywista niekonsekwencja w poglądach: ci sami, którzy gotowi byli uznać Mednyánszkiego za pół-Słowaka, ponieważ mieszkał na Spiszu i był sławnym artystą, norwowo zaprzeczali węgierskim wpływom na kulturę swojego narodu. Jasne, że istnienie wielkiego ziomka, chociaż Węgra, poprawiało im samopoczucie, a ponieważ byli z niego dumni, więc chcieli go jakoś okiełznać, dostosować do swoich potrzeb. Jedne fakty z życia Mednyánszkiego nadawały się do tego celu, inne nie. Więc ta przerażająca łatwość, z jaką natychmiast posortowano fakty na przydatne i nieprzydatne i w zależności od tego później je traktowano. Tak oto dzięki Słowakom zobaczyłem kompleksy polskie, ale po raz pierwszy w życiu z dystansu, bez współczuścni.

Po miesiącu wróciłem do Polski: traf chciał, że akurat w sam środek szaleństwa kopernikowskiego.

Historiografia używa niekiedy terminów: „Narody historyczne” i „niehistoryczne”. Określenia te stosuje, ze zrozumiałą ostrożnością i licznymi zastrzeżeniami, Henryk Wereszycki w swej znakomitej książce *Pod berłem Habsburgów, zagadnienia narodowościowe*. „Naród historyczny” to taki, który miał żywą ideę państwową, historyczne prawo publiczne, terytorium, narodowe symbole — słowem taki, który był podmiotem historii politycznej. Naród „niehistoryczny” to naród bez tradycji państwowej lub z tradycją tak odległą, że aż legendarną (np. Wielkie Morawy, Ruś Kijowska), aktualnie nie stanowiący rzeczywistej siły politycznej, naród bez wykrystalizowanego poczucia tożsamości, niezdolny do prób sterowania wydarzeniami na swoją korzyść. Decydując się na znaczne uproszczenie powiedzieć można, że w naszej części Europy w pierwszej połowie XIX wieku istniał wyraźny podział na narody „historyczne” (Niemcy, Polacy, Węgrzy, Rosjanie) i „niehistoryczne” (Słowacy, Rusini, Słowacy i inni). Formę pośrednią między narodem „historycznym” a „niehistorycznym” przez pewien czas stanowili Czesi.

Mniej więcej od czasu Wiosny Ludów, z różnym natężeniem i w różnym tempie, narody „niehistoryczne” przeistaczały się w „historyczne”. W roku 1918 większość spośród nich dobila się państwowości. Wytyczenie między nimi sprawiło wiele, niepodważalnych granic, uwzględniających racje gospodarcze, historyczne i etnograficzne wszystkich zainteresowanych stron było niemożliwe. Terytoria mieszane stanowiły regułę, kryteria historyczne najczęściej stały w sprzeczności z etnicznymi. Zrodziło to liczne konflikty, niewygasłe w ludzkiej świadomości po dziś dzień.

Po II wojnie światowej państwa Europy środkowej i południowo-wschodniej, których wzajemne stosunki jeszcze przed kilkoma laty pełne były spraw spornych, budzących silne emocje, zostały zintegrowane jednym systemem społeczno-politycznym i gospodarczym. Pociągnęło to za sobą konieczność unifikacji świadomości społecznej narodów o odmionnych, często sprzecznych tradycjach, mających wobec siebie wciąż niewygasłe pretensje. Zabrano się do tego z wielką energią, obiecując sobie zbyt wiele w zbyt krótkim czasie. (Np. Węgrom usilowano przebudować świadomość, głosząc w świątek i piątek, że ich kultura byłaby niezim bez wpływów słowiańskich. Irracjonalne naciski wywołują irracjonalne reakcje, i tak mój węgierski przyjaciel jako sztubak demonstracyjnie wyszedł z kina, gdy na ekranie

zespół „Mazowsze” śpiewał „Kukulczkę”, a że pociągnął za sobą kolegów, była z tego gromka afera). Niwelacja podobnych nastrojów w znacznym stopniu nastąpiła, głównie z przyczyny rewolucji społecznej, wylania się kolejnych pokoleń inteligentów o robotniczo-chlopskim rodowodzie itd., ale przecież czterdzieści lat to zbyt mało, by kwestię tę całkowicie zepchnąć w przeszłość. Dawny podział na narody „historyczne” i „niehistoryczne” raz po raz daje o sobie znać. Jesteśmy uwarunkowani historią i nie ma co tego faktu ignorować, tylko spojrzeć na rzecz z pewnego dystansu — to znaczy nie wypierać się swoich uczuć i odruchów, ale dodać do nich zdrowy rozsądek i szczyptę poczucia humoru.

Kwestia „psychicznej ojczyzny”, aczkolwiek trudna do zdefiniowania, przecież istnieje. Moją psychiczną ojczyzną są nie tylko tereny, na których rozgrywa się *Trylogia*, *Pan Tadeusz* i wiele innych książek, które we mnie wrosły, ale i Słowacja; parę lat dzieciństwa spędziłem w Bukowinie Tatrzańskiej, patrzałem na Tatry z jednej strony i bardzo pragnąłem zobaczyć je z drugiej, ale nie było mi to wówczas dane. Słowacja była dla mnie tajemniczym przedłużeniem Podhala, romantyczną, przebogatą krainą, istniejącą głównie po to, aby nasi wspaniali zbójnicy mieli gdzie rabować. Wspominam dzisiaj z usmiechem to naiwne spojrzenie dziecka, ale to może dzięki niemu ukazało się po latach kilka tomów słowackiej prozy w moim przekładzie. Sądzę, że mam prawo nazwać się przyjacielem Słowaków i miłośnikiem ich kultury, szczerze lubię ich język, a przecież śmieszy mnie nieustannie, cóż na to poradzę, gdy bohaterowie filmu kostiumowego, subtelni arystokraci z *Pustelni Parmeńskiej* na przykład, mówią do siebie po słowacku; robi to na mnie wrażenie, jak gdyby ordynat Michorowski prowadził przy stole konwersację gwarą podhalańską.

Obecne różnice między dawnymi narodami „historycznymi” a „niehistorycznymi” to fascynujący temat badawczy, niekiedy tragikomiczny, niekiedy patetyczny i groteskowy zarazem, zupełnie nieknięty przez etatowych naukowców, mocno drażliwy i na ogół niecenzuralny, czyli coś dla prawdziwego smakosza. Doprawdy trudno orzec, gdzie opracowanie takiego tematu wywołałoby żywsze reakcje — czy pośród intelektualnej elity narodu, który jeszcze sto pięćdziesiąt lat temu był w porównaniu do sąsiadów pariasem, a teraz ich „doścignął i prześcignął”, ale proces ten nie zdążył jeszcze uokrować się w psychice zbiorowej, czy też w narodzie, który przed wiekami stanowił europejską potęgę, a obecnie tworzy niewielkie państwo, zaś z mocarstwowości pozostały mu tylko wspomnienia i ziomkowie z obcym obywatelstwem?

To wspaniale, że jestem akurat Polakiem, gdyż u nas kwestia ta przedstawia się najciekawiej; syndrom bijącego i bitego, kompleksy niższości i wyższości tak misternie splotyły się ze sobą, że tylko stanąć i podziwiać. Mamy wspaniałe tradycje obrony polskości przed zaborcą i pochodząco z tej samej opoki tradycje zgola odmienne. Przykład pierwszy z brzoju — dzieci z Wrześni, bite za to, że uparcie modliły się po polsku; a iluż obywateli Najjaśniejszej Rzeczypospolitej było bitych za to, że modlili się nie po polsku? Dzieci również...

W XIX wieku Polacy stanowili naród wyzyskujący i wyzyskiwany jednocześnie. Co więcej, oba te aspekty znakomicie współistniały w zbiorowej mentalności i nikogo to nie dziwiło. Fakt, że polskość była miażdżona, a nie dała się zmiażdżyć, bo w jej obronie zdobywali się na największe ofiary, znany jest każdemu. Pozostaje do stwierdzenia drugi fakt z tej samej dziedziny — mianowicie, że Polacy wobec Ukraińców, Białorusinów i Litwinów byli narodem wyzyskującym. Niepodobna wymienić tutaj wszystkich przyczyn, dla których trudno jest nam przyjąć ten fakt do wiadomości ze wszystkimi tego konsekwencjami, ale jedno wydaje się pewno: dopóki się z tą kwestią psychiczną nie uporamy, słowa „Litwo! Ojczyzno moja!”, wypowiedziane w obecnych warunkach, będą brzmieć odrobinę dziwnie.